

HENRYK SIENKIEWICZ

Sachem

HENRYK SIENKIEWICZ

Sachem

W mieście Antylopie, położonym nad rzeką tegoż nazwiska, w stanie Teksas, spieszył kto żyw na przedstawienie cyrkowe. Zajęcie mieszkańców było tym większe, że od czasu założenia miasta pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek, minstrelów i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki, na tym samym miejscu, na którym stoi Antylopa, wznosiła się osada indyjska¹ zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Węzów, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim: Berlinowi, Gründenu i Harmonii, że osadnicy dłużej nie mogli wytrzymać. Indianie bronili wprawdzie tylko swego „terytorium”, które rząd stanowy Teksasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszyimi traktatami; ale cóż to mogło obchodzić kolonistów z Berlina, Gründenu i Harmonii? Pewnym jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, wodę i powietrze, ale natomiast wnosili cywilizację; czerwonoskórzy zaś okazali im wdzięczność na swój sposób, to jest zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać. Osadnicy więc z Berlina, Gründenu i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset i wezwawszy na pomoc Meksykanów z La Ora, napadli na uśpioną Chiavattę. Tryumf dobrej sprawy był zupełny. Chiavatta została spalona, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięci. Ocalały tylko małe oddziały wojowników, które w tym czasie wyszły na łowy. Z samego miasta nie ocalał się nikt, głównie dlatego, że miasto leżało w widłach rzeki, która jak zwykle na wiosnę rozlała się otoczyła osadę nieprzebytą tonią wód. Ale toż samo widlaste położenie, które zgubiło Indian, podobało się Niemcom. Z widel źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Gründenu i Harmonii rozpoczęła się emigracja do widel, w których też w mgnieniu oka, na miejscu dzikiej Chiavatty, powstała ucywilizowana Antylopa. W pięć lat liczyła ona dwa tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony widel kopalnię żywego srebra², którego eksploatacja podwoiła liczbę mieszkańców. W siódmym roku, z mocy prawa *lynch*³ powieszono na placu miejskim dziewiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Węzów, schwytanych w pobliskim Lesie Umarłych — i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa „Tagblatty⁴” i jedna „Montagsrevue⁵”. Kolej żelazna łączyła je z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia-Gasse wznosiły się trzy szkoły, z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Węzów, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu⁶ odczyt *O prawach narodów*.

Bogatsi mieszkańcy przebąkaliwali o potrzebie założenia uniwersytetu, do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom dobrze się działo. Handel żywym srebrem, pomarańczami, jęczmieniem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi,

¹indyjski — dziś popr. indiański.

²żywe srebro (daw.) — rtęć.

³lynch — lincz, samosąd, wymierzenie kary przez osobę nieuprawnioną; nazwa utworzona od nazwiska (tj. eponim) Charlesa Lyncha, (1736–1796), amer. sędziego ze stanu Wirginia.

⁴Tagblatt (niem.) — dziennik.

⁵Montagsrevue (niem.) — dosł. „Przegląd Poniedziałkowy”; najwidoczniej nazwa tygodnika.

⁶Kapitol — tu: ratusz.

rzadni, pracowici, systematyczni, otyli. Kto by w późniejszych czasach odwiedził już kilkunastotysięczną Antylopę, ten by w bogatych kupcach miejscowych nie poznał tych niemilosiernych wojowników, którzy piętnaście lat temu spalili Chiavattę. Dzień scho-
dził im po sklepach, warsztatach, biurach; wieczory spędzali w piwiarni „Pod Złotym Słońcem” przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i gar-
dłowych, tych: „*Mahlzeit! Mahlzeit!*”⁷, tych flegmatycznych: „*Nun ja wissen Sie, Herr Müller, ist das aber möglich*”⁸, tych dźwięków kufli, szumu piwa, tych plusków przelanej
piany na podłogę, widząc ten spokój, powolność, patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te rybie oczy, można by mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie
lub Monachium, nie zaś na zgłiszczach Chiavatty. Ale w mieście wszystko już było *ganz
gemütlich*⁹ i o zgłiszczach nikt nie myślał. Tego wieczoru ludność spieszyła oto do cyrku,
raz dlatego, że po twardej pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą, jak przyjemną,
po wtóre, że mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrki nie zjeżdżają
do lada miłośnicy, przybycie więc trupy Hon¹⁰. M. Deana stwierdzało poniekąd wielkość
i znaczenie Antylopy. Była jednak i trzecia, a może najważniejsza, przyczyna ogólnej cie-
kawości.

Oto Nr 2 programu mówił, co następuje: „Spacer na drucie zawieszonym na piętna-
ście stóp nad ziemią (z towarzyszeniem muzyki) wykona słynny gimnastyk Czerwony Sęp,
sachem (wódz) Czarnych Wężów, ostatni potomek królów pokolenia i ostatni z pokole-
nia: 1) Spacer. 2) Skoki Antylopy. 3) Taniec i pieśń śmierci”. Jeżeli gdzie, to w Antylopie
ten sachem mógł obudzić najwyższe zajęcie. Hon. M. Dean opowiadał „Pod Złotym
Słońcem”, iż przed piętnastu laty, w przejeździe do Santa Fe, znalazł na Planos de Torna-
do umierającego starego Indianina z dziesięcioletnim chłopakiem. Stary umarł istotnie
z ran i wycieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział, iż młody chłopiec był synem
zabitego sachema Czarnych Wężów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą
Hon. M. Dean dopiero „Pod Złotym Słońcem” dowiedział się, że Antylopa była niegdyś
Chiavattą — i że słynny linochód będzie się popisował na grobach ojców. Wiadomość ta
wprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem teraz na pewno liczyć na *great
attraction*¹¹, byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy
cisnęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom i synom, którzy ani razu w życiu
nie widzieli Indianina, pokazać ostatniego z Czarnych Wężów i powiedzieć: „Patrzcie, oto
takich w pień wyrzneliśmy przed laty piętnastu”. *Ach, Herr Jeh!*¹²! — Miło jest usłyszeć
taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchen, jak i małego Fryca. W całym też mieście
powtarzano bez ustanku: „Sachem, sachem!”

Dzieci od rana zaglądały przez szpary w deskach, z twarzami rozciekawionymi i prze-
rażonymi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczym duchem, wra-
cając ze szkoły maszerowali groźnie, sami nie wiedząc, dlaczego to robią. Godzina ósma
wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiazdzista. Powiew zza miasta przynosi zapach gajów
pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem siodła. W cyrku bije luna
światła. Ogromne smolne pochodnie, zatknięte przed główną bramą, palą się i kopcą.
Powiew chwije pióropuszcami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kon-
tury budowli. Jest to świeżo wzniesiona szopa drewniana, okrągła, ze śpiczastym dachem
i z gwiazdzistą amerykańską chorągwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły
się dostać lub nie miały za co kupić biletów, przypatrują się wozom trupy, a głównie
plóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych¹³, na których wymalowana jest bitwa
białych z czerwonoskórymi. W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświeco-
ne wnętrza bufetu z setkami kufli szklanych na stole. Ale oto ściągają zasłonę na do-
bre i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami poczynają tętnić krokami ludzkimi

⁷*Mahlzeit* (niem.) — dosł. posiłek; tu daw.: smacznego (dziś używana w tej sytuacji formuła brzmi *guten Appetit*)

⁸*Nun ja wissen Sie, Herr Müller, ist das aber möglich* (niem.) — no, wie pan, panie Müller, czy to jednak możliwe

⁹*ganz gemütlich* (niem.) — zupełnie miło, przytulnie.

¹⁰*Hon.* (ang.) — skrót od grzesznościowego tytułu *honourable*: szanowny, czcigodny.

¹¹*great attraction* (ang.) — wielka atrakcja.

¹²*Ach, Herr Jeh* (niem.) — ach, Panie Jezu.

¹³*wchodowy* (daw.) — wejściowy.

i wkrótce ciemna, ruchliwa masa pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdołano przeprowadzić do niego rur gazowych, to natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp naftowych, oblewa arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach widać opasłe, przechylone w tył dla folgi¹⁴ podbródkom głowy piwoszków, młode twarze kobiece i śliczne, zdziwione buzie dziecinne, których oczy niemal nie wychodzą¹⁵ na wierzch z ciekawości. Zresztą wszyscy widzowie mają miny ciekawe, zadowolone i głupie, jak zwykle publiczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów, przerywanych okrzykami: „*Frisch Wasser! frisch Bier!*”¹⁶ — wszyscy z cierpliwością oczekują zaczącia. Na koniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześcioro masztalerzy¹⁷ w palonych butach i staje w dwóch szeregach przy wejściu z areny do stajen. Przez te szeregi wpada rozhukany koń bez uzdy i siodła, a na nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jest to tancerka Lina. Rozpoczynają się harce przy odgłosie muzyki. Lina jest tak piękna, że młoda Mathilde, córka piwowara z Opuncia-Gasse, zaniepokojona jej widokiem, pochyla się do ucha młodego grocernika¹⁸ Flossa z tejże ulicy i pyta z cicha: czy ją kocha jeszcze? Tymczasem koń galopuje i oddycha jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tancerką, wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica; brawa się syją. Co za przepyszne przedstawienie! Ale Nr 1 mija prędko. Nadchodzi Nr 2. Wyraz: sachem! sachem! przebiega z ust do ust między widzami. Na błaznów, bijących się ciągle po twarzach, nikt już nie zważa. Wśród ich małych ruchów masztalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp drewniane kozły i stawiają po dwóch stronach areny. Muzyka przestaje grać *Yankee Doodle*, a gra posępną arię Komandora z *Don Juana*¹⁹; zaciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego bengalskiego światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę. W tym to blasku ukaże się straszliwy sachem, ostatni z Czarnych Węzów. Ale cóż to?... Wchodzi nie sachem, jeno sam dyrektor trupy, Hon. M. Dean. Kłania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić „łaskawych i szanownych *gentlemanów*, oraz piękne i niemniej szanowne *ladies* o nadzwyczaj spokojne zachowywanie się, niedawanie brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i dziksz niż zwykle”. Słowa te sprawiają niemałe wrażenie i dziwna rzecz, ci sami *honoratiores*²⁰ Antylopy, którzy przed piętnastu laty wycięli Chiavattę, doznają teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed chwilą, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się, że siedzą tak blisko, tuż koło parapetu, skąd tak dobrze można wszystko widzieć, a teraz spoglądają z pewnym utęsknieniem na górne sfery cyrkowe i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tym duszniej.

Ale ten sachem czyżby jeszcze pamiętał? Przecież wychował się od młodych lat w trupie Hon. M. Deana, złożonej przeważnie z Niemców. Czyżby jeszcze nie zapomniał? Wydawało się to nieprawdopodobnym. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania okłasków musiały wyrzucić swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni, Niemcy, także są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny i nie myślą o niej więcej, niż na to *business* pozwala. Przede wszystkim trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać tak dobrze każdy filister, jak i ostatni z Czarnych Węzów.

Rozmyślenia te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach — i na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie sachem. Słysząc krótki pomruk ciżby: „To on! to on!” — i potem cisza. Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu palą ciągle. Wszystkie spojrzzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indianin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzono. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów — oznaka wodza — pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przypomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orla, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy prawdziwie indyjskie²¹, spokoj-

¹⁴*dla folgi* — dla ulżenia.

¹⁵*niemal nie wychodzą* — popr. niemal wychodzą.

¹⁶*frisch Wasser, frisch Bier* (niem.) — świeża woda, świeże piwo.

¹⁷*masztalerz* (z czes.) — starszy stajenny; osoba zajmująca się końmi.

¹⁸*grocernik* — sklepikarz; z ang. *grocery*: sklep spożywczy.

¹⁹*Don Juan* — tu: opera Wolfganga Amadeusza Mozarta (1756–1791).

²⁰*honoratiores* (łac.) — dostojnicy.

²¹*indyjski* — dziś popr.: indiański.

ne, niby obojętne — a złowrogie. Wodzi on nimi po zgromadzeniu, jakby chciał sobie upatrzeć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głów. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topór i nóż do skalpowania, w rękę tylko zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwytania równowagi podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. *Herr Gott*²²! to okrzyk Czarnych Węzów. Ci, którzy wycinali Chiavattę, pamiętają dobrze to straszne wycie — i co dziwniejsza, ci, którzy przed piętnastu laty nie ulękli się tysiąca tak wyjących wojowników, pocą się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ułagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczył munsztuk — namowa skutkuje, bo po chwili sachem kołysze się już na drucie. Zapatrzone w żyrandol naftowy, postępuje naprzód. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy Indianin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód, cofa się i znów idzie, chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się!... pada! — nie! Krótkie, urwane brawo zrywa się jak wichry i milknie. Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku utkwionym w lampy naftowe błyszczą jakieś straszne światła. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie przerywa. Tymczasem sachem zbliża się do drugiego końca drutu — staje — i niespodzianie z ust jego wyrwa się pieśń wojenna.

Szczególna rzecz! Wódz śpiewa po niemiecku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał języka Czarnych Węzów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmaga się i potężnieje. Jest to półśpiew, pół jakieś wołanie niezmiernie żalobne, dzikie i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słychać słowa następujące:

„Po wielkich deszczach co rok pięciuset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny lub na wielkie łowy wiosenne. Gdy wracali z wojny, zdobyli ich skalpy; gdy wracali z łowów, przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć Wielkiego Ducha.

Chiavatta była szczęśliwa! Niewiasty pracowały w wigwamach²³, dzieci wyrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do Srebrnych Gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiavatty byli szlachetnymi mężami. Chiavatta była potężna. Aż przyszły blade twarze zza mórz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Błazi wojownicy nie pokonali Czarnych Węzów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale i noże ich zboczyły się w piersiach uspiomych mężów, niewiast i dzieci.

I oto nie ma Chiavatty, bo na jej miejsce biali wzniesli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę”.

Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz, kołysząc się na tym drucie, wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty, unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepokojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza. Wódz wył dalej:

„Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. Było ono małe i słabe, ale przysięgło Duchowi Ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężów, niewiast, dzieci — pożogę, krew!...” Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku poczęły się zrywać szmery podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęło się do głów. Co zrobi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? — on? — sam jeden? — zostać czy uciekać? czy się bronić — i jak?

— *Was ist das? was ist das?*²⁴ — rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakolysał się silniej, wskoczył na drewniany kozioł²⁵, stojący pod żyrandolem, i wznosił drąg. Straszna myśl przeleciała jak błyskawica przez głowy: rozbije świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Z piersi widzów wyrwał się jeden okrzyk. Ale cóż to? Z areny wołają: „Stój! stój!...” Wódza nie ma! zeskoczył, znikł w wyjściu. Nie spali cyrku? Gdzież się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziąjany, zmęczony, straszny. W rękę niesie blaszaną miskę i wyciągając ją ku widzom, mówi błagalnym głosem:

²²*Herr Gott!* (niem.) — wykrzyknik: „Panie Boże!” a. „Na Boga!”.

²³*wigwam* — namiot Indian.

²⁴*was ist das* (niem.) — co to jest; tu: co to znaczy

²⁵*koziół* — dziś: kozioł.

— *Was gefällig für den letzten der Schwarzen Schlangen*²⁶!...

Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora? efekt? Sypią się półdolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów w Antylopie, na zgliszczach Chiavatty! Ludzie mają serca.

Po przedstawieniu sachem pił piwo i jadł knedle „Pod Żłotym Słońcem”. Otoczenie wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki...

²⁶*was gefällig für den letzten der Schwarzen Schlangen* (niem.) — co łaska dla ostatniego z Czarnych Wężów.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sienkiewicz-sachem>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, *Nowele wybrane*, Państwowy Instytut Wydawniczy, [Warszawa 1968].

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Joanna Psenicyn, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Usien, CC BY-SA 3.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).